

**EVA  
CARTER**

**Jak  
ocalić  
życie**

**Przełożyła Ewa Borówka**

**MARGINESY**

*How to Save a Life*

COPYRIGHT © 2021 BY Eve Carter

All rights reserved including the right of reproduction  
in whole or in part in any form

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Borówka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2022

*Książkę dedykuję wszystkim udzielającym pierwszej pomocy, tym, którzy nie stroniąc od niebezpieczeństw, niosą pomoc najbardziej potrzebującym.*

## **Łańcuch przeżycia: ogniwo pierwsze**

Jak uratować komuś życie

Wyobraź sobie pomieszczenie, w którym znajduje się sto osób: może zatłoczony pub, pełen ludzi, których znasz i kochasz.

Twoi znajomi i krewni zaczynają zniemacka osuwać się na podłogę, jedna osoba za drugą. Na końcu stoi wśród nich ledwie sześć czy siedem osób.

Tak wygląda zatrzymanie krążenia. Bez natychmiastowej pomocy szans na przeżycie nie ma nawet 10 procent osób.

Taka sytuacja może się zdarzyć każdemu, wszędzie.

A gdy do niej dojdzie, zaczyna się wyścig z czasem. Serce nie pompuje już krwi do mózgu i całego organizmu, pojawia się ryzyko niedotlenienia.

Jednak z pomocą kogoś takiego jak ty znacznie więcej poszkodowanych ma szansę wyjść z tego cało. Wyobraź sobie, że trzydziścioro spośród tych drogich ci osób wstaje i się otrzepuje, dostaje od życia drugą szansę.

To nie lekarze, tylko zwyczajni ludzie, tacy jak ty i ja, jesteśmy najbliżej, gdy przychodzi najgorsze. W pracy, w parku, nawet w pubie.

Szansę na wyzdrowienie zależą od reakcji otoczenia – i tu zaczyna się twoja rola.

Na tym polega łańcuch przeżycia. A zadanie pierwszego ogniwa jest zarazem najprostsze i najważniejsze.

Wystarczy się zorientować, że doszło do zatrzymania krążenia, i wezwać pomoc.

**1. Jeśli widzisz, że ktoś nie reaguje i nie oddycha normalnie, zadzwoń pod numer 112 lub 999. Liczy się każda sekunda.**

31 grudnia 1999

Sześć minut. Do pocałunku zostało mi sześć minut.

Teraz już niecałe trzysta sześćdziesiąt sekund, jeśli nie chcę zakończyć kolejnego roku – umówmy się, całego tysiąclecia – jako jedyna siedemnastolatka w Brighton, która nigdy się z nikim nie całowała.

Większość dziewczyn z szóstej klasy zdążyła już pójść na całość. Znać to po ich ruchach, gdy tańczą jak szalone na kamienistej plaży, chwiejne, gdy grzęzną między otoczkami w butach na obcasach, i seksowne, i...

– Jak myślisz, co pierwsze szlag trafi: infrastrukturę energetyczną czy kontrolę ruchu lotniczego? – pyta Tim i podaje mi puszkę cydru Diamond White.

Podnoszę ją do ust, ale zostało tylko trochę piany o jabłkowym aromacie. Patrzę na niebo.

– Lepiej się tak nie jaraj tą myślą o Armagedonie.

Uśmiecha się.

– Czasem żałuję, że nic się nie dzieje, co ci poradzę.

Nie ty jeden.

– Nic się nie martw, niedługo i my się doczekamy.

O tej porze w grudniu przyszłego roku będę studiować na uniwerku w Manchesterze. I choć teraz wydaje mi się to niemożliwe, do tego czasu będę już miała za sobą pocałunek – i oby znacznie więcej. Ale jeśli chodzi o rok dwutysięczny, to nie perspektywa utraty dziewictwa najbardziej mnie cieszy. Za rok będę się kształcić na lekárkę. Przy odrobinie szczęścia i przy odpowiednich pytaniach na egzaminie z fizyki Tim będzie robił to samo.

– Chyba że pluskwa milenijna zetrze nas z powierzchni ziemi. – Zerka na swojego swatcha. – Za pięć minut. Za moment katastrofa, aż człowiek ma ochotę trochę poszaleć.

Szaleństwo do Tima pasuje jak piéść do nosa, ale teraz ma on nietypowo roziskrzony spójrzanie; w oczach odbijają mu się ogniska, przy

których rozsiedli się hipisi. Z tym że to nie tylko płomienie. Na twarzy maluje mu się coś jeszcze, jakieś przejęcie...

Szlag.

Zaraz mnie pocałuje.

Tylko nie to.

Może nie byłoby tak naj, najgorzej, gdybyśmy to zrobili na osobności. Ćwiczyliśmy na sobie zakładanie temblaków z chusty oraz opatrunków na poparzenia, czemu więc nie poćwiczyć pocałunków? Kiedy naprawdę do tego dojdzie, oboje chcemy być przygotowani. Praktyka czyni mistrza.

Tylko że on chyba nie traktuje tego jako ćwiczenia...

Odsuwam się, zrywam kontakt wzrokowy i patrzę ponad jego ramieniem na Joela, który kopie z kumplami piłkę na trawniku oświetlonym ciągnącymi się wzdłuż promenady latarniami z epoki wiktoriańskiej. Mróz ściął ziemię jak beton, ale chłopakom chyba to nie przeszkadza. Próbują za wszelką cenę przegonić Joela, choć wiedzą, że to próżne starania.

Joel porusza się dwa razy szybciej niż pozostali, z piłką niemal przypośniętą do stopy. Chodził do klasy ze mną i Timem, ale my zdecydowaliśmy się na zdawanie egzaminów A levels, a on podpisał kontrakt z klubem Dolphins FC. Jeden na milion. Każdy chce być jak on albo obracać się w jego towarzystwie, nie wyłączając mnie. Zdaje się, że Tim jest jedyną znaną mi osobą, której w żaden sposób nie zależy na względach Joela.

- Może trzeba zwalić winę na pogan, no wiesz, za to, że wyznaczili koniec roku w grudniu. - Tim zaczyna nowy wykład. Spływa to po mnie jak po kaczce. - Albo czekaj, to chyba byli Rzymianie.

- Możliwe - odpowiadam i znów się odsuwam. Tim potrzebuje czytelnych komunikatów: należy do najinteligentniejszych uczniów, ale potrafi być też najbardziej tępy i nie mogę dopuścić, by doszedł do wniosku, że pocałowanie mnie to dobry pomysł.

Pocałuj mnie.

Wyobrażam sobie, że mówię to Joelowi. Na krótką chwilę dopuszczam myśl, że zamiast zaśmiać mi się w twarz, robi to, o co proszę.

Tymczasem na trawniku Ant próbuje niezdarnie zablokować Joela, ale potyka się o własne wielkie stopy, a Joel przeskakuje przez nogi najlepszego kumpla i strzela kolejnego gola.

Piłka wpada między dwie bluzy Gapa, które udają słupki.

Sześć zero dla Joela. Liczyłam.

- Tylko czemu nie wybrali na przykład dnia przesilenia letniego? - Na górnej wardze Tima osiadła drobina cydrowej piany, mam ochotę się przysunąć i ją zetrzeć. Tylko że... co, jeśli weźmie to za flirt?

Najchętniej cofnęłabym się do czasów, gdy mieliśmy po siedem lat: ganialiśmy z jego ogrodu do mojego i co wtorek sprawdzaliśmy sobie nawzajem parametry życiowe podczas zbiórek skautów. Nie noszę naszych obecnych wcieleni: Tim rechocze z moich nieśmiesznych żartów i zerka na mnie z ukosa, jakby dopiero co odkrył, że jestem dziewczyną.

- W porze przesilenia byłyby lepsze imprezy. Składanie dziewoi w ofierze, pieczenie świń na wolnym ogniu. Albo odwrotnie.

Dalej peroruję, a ja nie mogę usiedzieć na miejscu. Wyobrażam sobie, że wstaję i odchodzę. Zrzucam buty, swoje shellys na obcasie, idę w stronę trawnika, a oszronione źdźbła trawy kłują mnie przez rajstopy.

W tej alternatywnej rzeczywistości doskakuje do piłki ręczno-nicznym Bambi, po czym strzelam gola. Joel otacza mnie ramionami w triumfalnym uścisku.

A zdumionej moją śmiałością Louise Norman opada szczęka, skuta od niedawna aparatem ortodontycznym, ale niestety niezadrutowana na amen.

Moją śmiałością i moją gracją.

W sumie zadowolilibym się tym, że kogoś zaskakuję. Zostaję zauważona. W szkole, w domu, tutaj. Gdziekolwiek.

Kątem oka widzę, jak Joel biegnie. A potem pada.

Nie potyka się, nie wyciąga ręki, żeby złapać równowagę albo zamortyzować upadek. Zwyczajnie upada twarzą do ziemi, na wyprostowanych nogach. Wykłada się jak długi.

Pozostali grają dalej: Gruby Matt przechwytyuje niemrawo piłkę i ze zwycięskim okrzykiem kieruje ją w stronę porzuconej bramki.

Czekam, aż Joel wstanie. Co on kombinuje? Nie jest takim jajca-  
rzem jak Ant i nie wierzę, że celowo upadł tak niezgrabnie i zary-  
zykował kontuzję. W ostatnim roku szkolnym, nim dostał swoją  
wielką szansę w Dolphins, był chyba jedyną osobą w szkole, która  
nie piła ani nie paliła. Nawet dzisiaj ograniczył się do soku pomarań-  
czowego...

Ant obraca się na pięcie i woła:

- No weź, Joel, ty debilu!

Podbiega do kumpla i trąca go swoim wielkim czarnym butem.  
Raz. Drugi. Za trzecim razem w zasadzie wymierza kopniaka.

Joel ani drgnie.

I nagle, jak rażona gromem, już wiem. Upuszczam puszkę po cy-  
drze - Tim dalej głądzi o pogańskich korzeniach obrzędów chrześci-  
jańskich - i choć zamierzam tam po prostu podejść, moje nogi robią,  
co im się podoba.

Biegnę przez trawnik i przeklinam się za ten oczywisty zryw, ale  
nic na to nie poradzę. Podkochuję się w nim skrycie od niemal sied-  
miu lat i teraz wszystko wyjdzie na jaw.

Przyspieszam. Już niedaleko.

Joel leży tak nieruchomo, że zapiera mi dech w piersiach. Pozostali  
chłopcy stoją wokół niego i krzyczą, żeby wstawał. Ant marszczy  
brwi i gdy wchodzi w ich krąg, nasze spojrzenia się krzyżują. Przy-  
gotowuję się na drwiny - Ant dokucza mi od początku szkoły - ale  
w jego oczach widzę tylko panikę.

- Co mu się stało? - pyta.

- Jaja sobie robi - odpowiada któryś z chłopaków. Ja tymczasem  
kucam już przy Joelu, trawa kłuje mnie w skórę goleni.

- No właśnie nie. - Mój donośny głos zbija wszystkich z tropu. -  
Cicho bądźcie, muszę posłuchać, sprawdzić, jak często oddycha.

O ile w ogóle.

ABC. Przez myśl przebiega mi abecadło pierwszej pomocy, odzy-  
skuję grunt pod nogami. Przeszłam szkolenie.

Pochylam się nad twarzą Joela. Jeśli po prostu stracił przytom-  
ność, powinnam wyczuć ciepło oddechu. Ale poza słodkim zapachem  
soku pomarańczowego nie wyczuwam niczego.



A jak *airway*, udrożnienie dróg oddechowych. Odchylam mu podbródek, czując pod opuszkami lekkie ułtucie zarostu. Rozdzielam mu palcami wargi, zamiast chłopaka, który mi się podoba, widzę w nim teraz elementy układanki, które muszą poskładać w całość. Gardło wygląda na drożne. Powinien oddychać.

- Ant. Musimy go obrócić na plecy.

Joel jest ciężki. Bezwładny wydaje się jeszcze cięższy. Ale gdy się z nim mocujemy, czuję, jak przybywa mi sił. Joel leży przez chwilę na boku, po czym z nieprzyjemnym plaśnięciem opada na plecy.

- Ostrożnie! - mówi Gruby Matt. - Każda jego noga jest ubezpieczona na dziesięć tysiaków.

Jeśli nie żyje, to i tak są nic niewarte.

B jak *breathing*, sprawdzenie oddechu. Klatka piersiowa się nie porusza. Nic się nie porusza. Czas zwolnił, ale ja rozumiuję szybko i klarownie jak nigdy.

Zadzieram głowę.

- Niech któryś leci do telefonu i zadzwoni pod 999. Trzeba powiedzieć, że nie oddycha i muszą szybko przyjechać.

Pięciu chłopaków stoi z rozdziawionymi ustami, jakbym przemawiała do nich w obcym języku.

- Paddy, leć.

Wzrusza ramionami i kopie ziemię czubkiem buta, jakby nie wiedział, czy mnie posłuchać i zaryzykować, że będą się z niego napięprzać przez najbliższy rok.

- Serio mówię. Leć! - Wracam do pracy: układam długie, szczupłe ręce Joela wzdłuż jego ciała. - Biegiem! Matt, ty stań przy drodze i spróbuj zatrzymać jakiś radiowóz.

Robią, co im każę, choć nikt z nas nie może w to uwierzyć.

- Tim! - wołam.

Tim przepycha się do przodu. Podciągam Joelowi bluzę, żeby odsłonić klatkę piersiową, i czekam, aż Tim przykłęknie przy mnie i przejmie pałeczkę. Podczas ćwiczeń zawsze pierwszy wkraczał do akcji.

Ale gdy teraz podnoszę wzrok, widzę, że na mnie nie patrzy. Nie mam czasu się zastanawiać dlaczego.

C jak... *circulation*, kontrola oznak krążenia.

Czy ja naprawdę muszę to robić?

Nikogo innego nie ma.

- Każ im się cofnąć - mówię Antowi i przysuwam się bliżej Joela, dotykam teraz kolanami jego ręki.

Ciemnozłotą skórę pokrywa warstewka potu. Próbuję odnaleźć właściwe miejsce między żebrami; na tle jego rozłożystej klatki piersiowej moje blade dłonie wyglądają, jakby należały do dziewczynki, do tego paznokcie mam ogryzione i nierówne.

Dopadają mnie wątpliwości. To niemożliwe, że on umiera. Lada chwila usiądzie jak rażony prądem. Zaśmieje mi się w twarz. Już na zawsze zostaną idiotką, która dała się nabrać na podpuchę Joela.

Ale gdy zerkam niżej, w okolicach krocza dostrzegam ciemną plamę. A potem wyczuwam ostrą woń moczu i wiem już, że to nie żarty.

- Ant, tu nie ma nic do oglądania. Proszę, każ im się odsunąć.

- Ej, cofnijcie się. Zróbcie jej trochę miejsca.

Kładę prawą dłoń na lewej i uciskam po raz pierwszy.

Nie. Zbyt ostrożnie. Gumowy manekin zawsze żwawo podrygiwał, tymczasem żebra i mięśnie Joela stawiają mi opór.

Uciskam jeszcze raz, mocniej. Nie ma w tym nic żwawego, trzeba brutalniej.

Za trzecim razem chyba się udaje. Robię to, czego mnie uczono: odliczam na głos i dostrajam się do tego, co słyszę.

- Raz i dwa, i trzy, i cztery, i pięć, i sześć, i...

Odpowiednio szybkiego rytmu uczono nas na przykładzie tradycyjnej dziecięcej piosenki o słonicy Nelly, ale teraz tempo rymowanki nie pasuje. Nie nadążam. Prowadzący nasz kurs żartownisie z organizacji St John Ambulance Cadets licytowali się czasem, kto wymyśli najbardziej niestosowną piosenkę.

*Stayin' Alive.*

Dla zachowania rytmu powtarzam sobie w głowie tekst, ale jest tak nie na miejscu, że aż mnie mdli. Chyba mam za słabe ręce, przywrócenie krążenia w wysportowanym ciele Joela wymaga znacznie gwałtowniejszych ruchów. Czy właśnie słyszałam chrupnięcie żebra? Ale będzie poobijany, kiedy się ocknie.

Jeśli się ocknie.

To nie film. W życiu mało kto wychodzi z tego cała.

*Another One Bites the Dust.*

Ale ten tekst jest jeszcze okropniejszy.

Czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście...

Dociera do mnie, że wstrzymywałam oddech. Próbuję nabrać jak najwięcej powietrza, żeby przekazać je Joelowi.

Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści.

Odchylam mu głowę, skórę na szyi ma napiętą i jeszcze ciepłą. Zatykam mu mocno nos, żeby nie ulotnił się drogocenny tlen, tak jak mnie uczono na fantomie Resusci Annie.

Opuszczam głowę. Przytykam szczelnie wargi do jego ust.

Gdzieś niedaleko słyszę radosny okrzyk, a potem wielką wrzawę. Gdzieś w mieście strzelają fajerwerki.

Rok dwutysięczny.

Czuję posmak soku pomarańczowego. Patrzę na lewo, na ciało Joe-la, i czekam, aż jego pierś się uniesie, a płuca napełnią powietrzem.

I modłę się – choć nieraz dyskutowaliśmy o tym z Timem i nie jesteśmy pewni, czy Bóg w ogóle istnieje – żeby ta moja strasznie nieudolna próba jakimś cudem okazała się wystarczająca.

1 stycznia 2000

Nie mogę się ruszyć.

Patrzę na klęczącą przy Joelu Kerry i wiem, że mnie potrzebuję, oboje mnie potrzebują, ale naprawdę nie mogę się ruszyć.

Tylko bez paniki. Dokonać oceny sytuacji: zagrożenie? Nie ma. Reakcja na bodźce?

Reaguję, oddycham, nie jestem ranny. Ale za cholerę nie mogę się ruszyć.

Co się ze mną dzieje?

To nie omdlenie, bo gdybym stracił przytomność, leżałbym obok Joela, a ja dalej stoję.

Wszystko wokół biegnie swoim trybem, tak samo jak przed północą. Światła sygnalizacji zmieniają się w tej samej kolejności, w klubach dudni muzyka, niebo jest nadal wolne od płonących szczątków samolotów. I to tyle, jeśli chodzi o Armagedon...

Kerry robi Joelowi RKO.

A ja ani drgnę.

Dlaczego? Rusz głową, Tim.

Oznaki, objawy. To nie jest całkowity paraliż, bo mogę oddychać i przełykać, poza tym czuję swoje ciało, od opuszków po czubek palców u stóp. Czyli to raczej nie wylew ani uraz kręgosłupa...

Pluskwa milenijna miała spowodować Armagedon, tymczasem awarii uległem ja.

To ja powinienem uciskać klatkę piersiową i wykonywać sztuczne oddychanie. Kerry może i lepiej się uczy, ale w konkurencjach związanych z pierwszą pomocą zawsze ją wyprzedzałem. Jest zbyt impulsywna, a to może prowadzić do katastrofalnych błędów, ja zaś analizuję dane chłodno i sprawnie. To dlatego ona staje niżej na podium. Ja dotarłem w zawodach do etapu ogólnokrajowego.

Ale ciało odmawia mi posłuszeństwa, nogi mam jak z ołowiu. To jak koszmarny sen. Pod pachami i w kroku czuję kłujące kropelki

potu. I coś mi tu śmierdzi. Zlałem się w gacie czy fetor dochodzi od Joela?

Nawet gdy próbuję otworzyć usta, wezwać pomoc, nie mogę rozwrzeć zaciśniętej szczęki.

Ale może i dobrze. Nie skupię na sobie uwagi, nikt nie zobaczy, że tak zamarłem, a zwłaszcza Kerry. Zresztą nie można jej przeszkadzać. Od tego, co robi, nie ma teraz nic ważniejszego.

## Rozdział 3: Kerry

Przygotowuję się do kolejnych oddechów ratowniczych, tymczasem z ust Joela dochodzi okropny charkot. Bardziej zwierzęcy niż ludzki.

- Joel, Joel, jesteś? Słyszysz mnie?

Przerywam uciskanie z nadzieją, że płuca same napełnią się powietrzem, a on otworzy oczy i mnie odepchnie.

Nic z tego.

Przypominam sobie słowa instruktorki ratownictwa: „Oddech agonalny to znak, że mózg umiera z niedotlenienia”.

Wracam do uciskania piersi.

Dobiega mnie płacz jakichś dziewczyn. W głębi promenady śpiewają i bębnią hipisi, a niebo zasłaniają nadal kolorowe iskry fajerwerków.

Chyba że sprawdziły się przewidywania Tima i z nieba naprawdę spadają samoloty.

- Co ta Kerry mu robi? Ma się już za lekárkę czy co? - Słyszę sepleniący głos Louise Norman.

- Nie żyje? - pyta inna dziewczyna.

- Przestań bredzić - odpowiada Ant. - Dopiero co ganiał za piłką. Pewnie, że żyje.

Tyle że Ant może być w błędzie. Joel nie wygląda na martwego, przynajmniej na razie. Ale o ile się nie mylę, ustała u niego akcja serca, co oznacza, że krew w jego żyłach płynie tylko dzięki moim rękóm, a moje oddechy to dla niego jedyne źródło tlenu.

To stanowczo za mało.

Nie słyszę sygnału karetki, ale trawa wokół mnie mieni się kolorami: błękit, pomarańcz, błękit, pomarańcz. Migające światło wybija mnie z rytmu, zaburza tempo, wracam więc do nucenia rymowanki i uciskam, uciskam, uciskam...

Pierwszy raz czuję, że opadam z sił. Gdy po trzydziestu uciśnięciach nachyliam się nad Joelem, żeby kontynuować oddechy ratownicze, dociera do mnie, że teraz mój własny oddech jest urywany. Ale zmęczenie to żadna wymówka.

Znów przytykam wargi do ust Joela. Wydech. Coś sobie uroiłam czy jego twarz jest chłodniejsza?

- Kerry. Słuchaj. Po oddechach przejmę masaż.

Gdzieś ty się podziewał, do cholery?

Nie podnoszę wzroku. Nie mogę przerwać cyklu. Liczy się każda sekunda.

Po drugim oddechu dźwigam głowę, Tim przykłęka obok, nasze ciała stykają się na chwilę.

I on wygląda na zaskoczonego tym, ile wysiłku wymaga uciskanie klatki piersiowej. Uciska raz. Za słabo. Czyżbym popełniła błąd, wpuszczając go na swoje miejsce?

Uciska drugi raz.

- Dobra, chłopaki, przepuście nas. - Męski głos, wyraźnie zmęczony życiem. Kątem oka dostrzegam limonkowy blask fluorescencyjnej kamizelki. To chyba ratownik, oby.

- Co my tu mamy? Gołnął jednego za dużo w Nowy Rok czy...? - Ratownik urywa raptownie. Patrzę na jego ściągnięte brwi, już rozumie. - Jeff! - krzyczy. - Chyba enzetka! Dawaj defibrylator!

Wie.

- Dobra, kolego - odzywa się do Tima. - Świetna robota. Jesteś po kursie, co?

Tim nie odpowiada, więc odpowiadam za niego.

- Szkoli się w St John... Ja też... Pacjent... wydaje nam się, że doszło do zatrzymania krążenia. - Głos mam zdyszany jak po biegu przełajowym. - Upadł... - Przypominam sobie fajerwerki. - Jakoś tuż przed północą. Stosujemy... dwa oddechy ratownicze na każde... trzydzieści uciśnień.

Ratownik kiwa głową.

- Dobrze, kotku, odsuń się teraz, żebyśmy mogli zrobić swoje.

Nie mam już siły się ruszać.

- Pacjent ma na imię Joel. - Tim odzyskał głos i próbuje naśladować spokojny ton ratownika. - Ma siedemnaście lat. Czeka go kariera piłkarza w Dolphins. Albo czekała.

Mężczyzna się wzdryga.

- Dobra. Ja jestem Roger, a ty?

- Tim.

- Okej, Tim. Zmienię cię po piętnastu uciśnięciach. Mój kolega Jeff już niesie defibrylator. Spisałeś się na medal.

Wciska się między mnie a Tima i rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie. Odsuwam się niemrawo, a ratownik zastępuje Tima, który sprawia wrażenie zszokowanego, choć RKO w jego wykonaniu trwała może minutę. W moim co najmniej dziesięć.

Ktoś łapie mnie za rękę, podnosi, pomaga złapać równowagę.

- Wyjdzie z tego? - Dłoń Anta jest silna, ale głos brzmi słabutko. - Kerry?

Dziwię się, że po latach obrzucania mnie paskudnymi wyzwiskami pamięta moje imię.

- Mam nadzieję.

Ant opuścił rękę, ale nadal na mnie patrzy.

- Co ty mu robiłaś? Czuję się jak aktor *Na sygnale*.

- To... - Sama jeszcze nie dowierzam, że tak zareagowałam. - Podtrzymałam krążenie krwi. Żeby dostarczyć mózgowi tlen.

Ant kiwa głową.

- Pacjenci w telewizji się budzą. Dlaczego on się nie wybudził?

Czuję, jak trzęsą mi się ręce. Ratownik kontynuuje RKO. Drugi członek zespołu ratunkowego podbiega do bezwładnego ciała Joela z dużą torbą.

- Sama resuscytacja krążeniowo-oddechowa nikogo nie wybudzi. - Tim ociera dłonie o dżinsy. - Muszą użyć defibrylatora, żeby za pomocą wstrząsów narzucić sercu prawidłowy rytm.

Nie sądzę, żeby Ant zrozumiał odpowiedź Tima.

- Niech wszyscy się odsuną! - woła jeden z ratowników.

- Nie słyszycie? - krzyczy Tim, rozpędzając towarzystwo.

- Skąd wiedziałaś, jak to się robi? - pyta Ant i kręci głową.

- Uczę się udzielania pierwszej pomocy. Tak hobbistycznie. Tim też.

- Nieźle pokręcone hobby.

Krąg wokół Joela się przerzedził i przesuwam się trochę, żeby znów go zobaczyć. Dobiega mnie dźwięk pikania, a po chwili odzywa się przetworzony kobiecy głos: „Trwa analiza rytmu serca. Wskazana defibrylacja. Proszę się odsunąć”.



Nie sposób nie patrzeć. Czy defibrylacja pomoże? A jeśli nie, to czy to moja wina?

Pod wpływem wstrząsu ciało Joela wygina się w łuk. Ile to tysięcy woltów? Mówili nam na kursie. Wystarczająco dużo, żeby poruszyć to, co nieruchome. Joel opada z powrotem na trawę, a ja wstrzymuję oddech.

„Trwa analiza rytmu serca”.

„Wskazana defibrylacja”.

Nie pomogło. Joel jest nadal martwy.

Dopiero teraz słyszę syreny. Pewnie rozbrzmiewały już wcześniej, ale byłam tak przejęta, że ich nie słyszałam. Radiowóz i drugi ambulans wjeżdżają na chodnik i suną po trawie w naszą stronę.

„Proszę się odsunąć”.

Kilku chłopaków w odruchowej reakcji na widok policjantów kryje puszkę pod kurtkami i odchodzi powolnym krokiem.

Ciało Joela po raz drugi wygina się i opada.

Wstrzymuję oddech.

„Trwa analiza rytmu serca”.

- Mamy tętno - woła jeden z ratowników.

Ant wytrzeszcza oczy.

- Wyjdzie z tego?

Jest osiemnaście minut po północy: tak długo mózg i cały organizm Joela pozbawione były tlenu. Nawet jeśli jego ciało reaguje, to, co zrobiłam, prawdopodobnie nie wystarczy.

Ant wpatruje się we mnie rozgorączkowanym wzrokiem.

- Jeśli mają tętno, to znaczy, że mu bije serce, nie?

Załoga drugiej karetki rozkłada na trawie sprzęt jak w miniszpitalu polowym. Podchodzimy z Antem do Tima rozmawiającego z policjantką i policjantem, a oni na nasz widok marszczą brwi.

- Nie zbliżaj się, kolego - ostrzega policjant.

- To najlepszy kumpel pacjenta - mówi Tim policjantce, szczipięć kobiecie ze sterczącymi spod czapki siwymi włosami. Jej kolega ma wydatny brzuch, a jego twarz lśni od potu, jakby zmęczyło go samo wyjście z radiowozu.

A jednak to Joel – najbardziej wysportowany z moich znajomych – leży teraz na zmarzniętej ziemi.

Policjantka prowadzi nas do radiowozu, ale Tim się ociąga. Na jego twarzy widzę determinację; zdaje się, że liczy na miejsce w karetce.

Niech mu będzie.

– Założę się, że nie jechałaś jeszcze suką – mówi Ant, gdy wsiadamy do radiowozu.

Uśmiecham się słabo; próbuję zatrzeć wspomnienie o tym, co zrobiłam, co widział.

– Takiego obrotu sprawy się dzisiaj na pewno nie spodziewałam.

Chyba całe wieki temu byłam tą dziewczyną, która przejmuję się, czy Tim ją pocałuje.

– Pojedziemy za ambulansem – mówi policjantka. Wyglądamy przez okna, widzimy grupkę zataczających się kobiet w krótkich futerkach i letnich szpilkach. Przypominają obsadę rewii. Za nimi rozmazują się światła Palace Pier i wtedy dociera do mnie, że płacę. Tylko dlaczego?

Dla Joela jestem nikim. Ledwie mnie dostrzega, choć od pięciu lat wracamy ze szkoły tą samą drogą. A mimo wszystko chcę być w szpitalu, gdy się ocknie.

Jeśli się ocknie.

Ludzie oddają cześć bohaterom, tymczasem wszystko sprowadza się do ciała migdałowatego. Sądzimy, że podejmujemy racjonalne decyzje, ale to ten ukryty głęboko w mózgu zlepek komórek określa, czy jesteśmy odważni, czy tchórzliwi, czy walczymy, czy zamieramy.

No więc to nie ja zawiniłem. Prawda?

- Dobrze się czujesz, Tim? - pyta Jeff czy tam Roger. Już dwa razy mi się przedstawiał, ale jakoś nie zajarzyłem, a plakietki nie widzę. Jeff czy tam Roger siedzi z Joelem z tyłu. - Zrobiłeś dla swojego kumpła wielką rzecz. Dzięki tobie ma możliwie największe szanse.

- No wiem.

No przecież wiem, że wskutek nagłego zatrzymania krążenia w warunkach nieszpitalnych przeżywa mniej niż jeden pacjent na dziesięciu. Czy Joel będzie szczęściarzem?

- A ta dziewczyna, która się tam kręciła? Chodzą ze sobą?

Kerry. Czym wyróżnia się akurat jej ciało migdałowate, skoro zareagowała, gdy ja zmarłem? Zawsze była bardziej impulsywna niż ja, ale mimo to oboje powinniśmy być gotowi.

- Nie, zupełnie nie jego typ. Kerry i ja... się przyjaźnimy. Uczymy się ratownictwa i chcemy zdawać na medycynę.

- Przyszli lekarze, hm? Przynajmniej nie boisz się działać, kiedy trzeba, czego nie można powiedzieć o wielu innych.

Ze stanu paraliżu wyrwał mnie sygnał karetki. Kerry musiała być już wykończona, uciskała coraz mniej efektywnie, a to zmniejszało szanse Joela na przeżycie. Dla jego dobra najlepiej było się zmienić. Kiedy zastąpiłem Kerry, wniosłem świeżą energię.

Kogo ja oszukuję? Nawaliłem. Nie sprawdziłem się.

Skręcamy w lewo i Jeff czy Roger wciska pedał gazu.

- Co z nim, Roger? - woła przez ramię kierowca. Jeff, muszę zapamiętać.

- Stabilnie. Trzyma się.

Szkoda, że nie mogę siedzieć z tyłu przy Joelu, tam, gdzie znajduje się wszystko, co potrzebne do ratowania życia: starannie posegrego-

wane, gotowe do użycia. Po nieznośnie chaotycznych wydarzeniach na bulwarze najbardziej teraz pragnę ładu.

- Wiesz co, bez względu na wszystko... - odzywa się kierowca i zerka na mnie przelotnie. - Bez względu na to, co się z chłopakiem stanie, nie możesz czuć się winny. Musisz sobie powtarzać: „Zrobiłem krok. Wszyscy wokół stali i się gapili, a tylko ja jeden podjąłem próbę”.

Już otwieram usta, żeby się przyznać do paraliżu, opowiedzieć o tych żenujących minutach, w których zostawiłem Kerry samą. Ten człowiek da mi rozgrzeszenie, pocieszy, że nieważne, kto reanimował, ważne, że w ogóle.

Może moja nieudolność pomogłaby nawet mamie pogodzić się z tym, że kariera lekarza mnie przerasta. Mama nie przyjmuje do wiadomości, że moje podanie odrzuciły trzy z czterech uczelni medycznych. „Jedna w zupełności wystarczy, Tim”.

- Tim...? Obiecasz mi to? - ciągnie kierowca.

Gdy próbuję dobrać słowa, żeby wyjaśnić, co się naprawdę stało, widzę przed oczami twarz matki.

Ona się nie może dowiedzieć, jaki ze mnie żaloszny pierdoła, to by ją zabiło.

Następnym razem stanę na wysokości zadania.

Zamykam usta.

Przed nami światła SOR-u. Ten szpital to dla Joela jedyna szansa na powrót do żywych. Oraz moja jedyna nadzieja na to, by zostać lekarzem. Mam pewność, że dostanę się na rozmowę kwalifikacyjną na uczelni medycznej w rodzinnym mieście, ponieważ jestem opiekunem mamy.

To jest od zawsze mój cel, a jej największe pragnienie. Matka zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, może poza Kerry, i skoro wierzy, że mi się uda, to i ja powinienem w to uwierzyć.

Jeśli tego nie zrobię, z pewnością nigdy mi nie wybaczy.

Dzisiejsze zdarzenia muszę potraktować jako nauczkę. Przy następnej okazji pokonam ciało migdałowate. Wyciągnę wnioski. Zresztą w końcu zareagowałem. O tym mogę opowiedzieć na rozmowie, obrócić to na swoją korzyść, powołując się na umiejtność

myślenia strategicznego. To pięcioletnie studia, a nie kilka minut niezdecydowania uczynią ze mnie lekarza, bo przecież jestem do tego stworzony.

- Obiecuję, Roger.

- Jeff - prostuje. - Tak czy siak myślę, że można ci wybaczyć.

Oddział ratunkowy ziele pustką. Niepokój, który towarzyszył mi na tylnym siedzeniu radiowozu, przemienia się w prawdziwą panikę.

Gdzie jest Joel?

- Halo! Jest tu kto?

Dłonie i ręce bołą mnie i mrowią z wysiłku, gorsza jednak jest bezsilność. Jeszcze za mało działałam.

Łomoczę w okienko rejestracji, ale nikt się nie pojawia. Walę ponownie, jest mi wszystko jedno, czy stłukę to szkło. Wtedy przynajmniej ktoś przyjdzie. Policjantka delikatnie odsuwa moją rękę od szyby.

- Jeszcze tylko brakuje, żebyś się skaleczyła, co? Nikogo nie ma, bo to cisza przed burzą. Twój kolega miał szczęście, że zdążył przed ofiarami sylwestrowych bijatyk.

Szczęście.

Policjantka idzie poszukać kogoś poinformowanego. W poczekalni siedzi kilku meneli, podają sobie puszki z piwem i niestosownie głośno rechoczą.

Nigdy wcześniej nie bałam się SOR-u. A wprost przeciwnie: z powodu różnych perypetii byłam tu trzykrotnie i z każdą wizytą coraz bardziej pociągała mnie tutejsza krzątania.

O swoich doświadczeniach z perspektywy pacjentki wspomniałam nawet podczas jednej z rozmów kwalifikacyjnych na medycynę. Za pierwszym razem spadłam z drzewa w ogrodzie Tima, ostrzegął, żebym się nie wspinała za wysoko, ale nie słuchałam. Spadłam na rękę, ból był nie do opisania.

Kiedy dotarłam do szpitala i przewieźli mnie przez te wahadłowe dwuskrzydłowe drzwi, młoda kobieta - chyba najmniej doświadczona z rezydentek - rzuciła na mnie okiem, położyła dłonie na moim ciele i ostrzegła, że pierwsze trzy sekundy będą koszmarne, ale potem wszystko wróci do normy.

Powiedziałam członkom komisji:

- Miała rację. Wiedziała, co robić, jakby miała czarodziejską różdżkę. Też bym chciała tak pomagać ludziom.

- Kerry?

Podnoszę wzrok i widzę idących w moją stronę Tima i Anta. Lumpy patrzą na nas, gotowi się wtrącić, jeśli wepchniemy się do kolejki. Tim bierze mnie w ramiona, a ja się odsuwam, bo przypominam sobie niedoszły pocałunek.

- Powiedzieli, że możemy skorzystać z poczekalni dla krewnych, tam jest spokojniej.

I bardziej klaustrofobicznie: dwa przeciwległe rzędy po pięć krzesel. Siadam obok Anta, który przestał w końcu trajkotać o wszystkim i o niczym.

Naprzeciw nas sadowi się Tim.

- Zabrali go na reanimację. W karetce był w stabilnym stanie. Kerry i ja pomogliśmy utrzymać go przy życiu, a teraz wszystko w rękach lekarzy.

- Ocknął się już? - pyta Ant.

Wymieniamy z Timem spojrzenia.

- Prawdopodobnie ocknie się dopiero za jakiś czas - wyjaśnia Tim. O ile w ogóle.

- Może z nim pogadam, wiecie, jak na filmach. - Ant rusza w stronę drzwi. - Ma ktoś walkmana? Joel nienawidzi Westlife, puszczaj mu *Flying without Wings* czy coś w ten deseń, to go na bank obudzi.

Tim zagradza mu drogę.

- Nie obudzi, bo lekarze go uśpili, żeby zrobić badania, sprawdzić, co spowodowało te problemy z sercem.

Chcę jakoś pocieszyć Anta, ale mam pustkę w głowie.

- Ręce ci się trzęsą - zauważa Ant.

Spuszczam wzrok. Rzeczywiście. Zaciskam je na okrytych cekinową sukienką kolanach, ale to nie pomaga. Ant chwytą mnie za dłonie, żeby pohamować drzenie.

- Joel Greenaway? Gdzie jesteś?

Głos dobiega z korytarza. Wychodzimy z powrotem do głównej poczekalni, gdzie Gruby Matt szarpie się z policjantem.

- Matt, tu jesteśmy. - Ant podchodzi do kumpla, obejmuje go i poklepuje po plecach, aż dźwięk niesie się po korytarzu. Ant ma łzy

w oczach, ale zaraz wyciera je ukradkiem, markując przeczesywanie palcami włosów. – Jest z tobą tata Joela?

Gruby Matt kręci głową. Nie jest już nawet gruby, raczej krzepki i umięśniony. Ksywka chyba przyłgnęła do niego na dobre i już zawsze będzie przypominać o tym, że jakoś przed piętnastym rokiem życia na krótko się zaokrąglił.

– Lekarze zabrali go prosto do Joela.

– No to chyba dobrze, co nie? – mówi Ant. – To czemu wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył?

– Nie ducha. Kobietę – odpowiada Matt. – Pan Greenaway był z kobietą i to stanowczo nie była pani Greenaway. Policjant bez końca walił w drzwi, a gdy tata Joela w końcu otworzył, zobaczyłem ją za jego plecami. Niewiele starsza od nas. W szlafroczku!

Ant cmoka zniecierpliwiony.

– Starczy, okej? Nikomu o tym nie mów, a już na pewno nie Joelowi. Słyszysz?

Matt wygląda na wkurzonego, że nie może opowiedzieć historii do końca. Wyłączam się, bo Tim znów zgrywa dorosłego, mądry się na całego, a ja czuję się nagle tak zmęczona, że mogłabym się położyć na wykładzinie i spać okrągłą dobę.

Ale nie wyjdę, dopóki się nie dowiem, czy Joel przeżył.

W miarę jak SOR zaczyna się zapełniać, narasta też zgiełk: piskliwe śmiechy, śpiew, szloch. Do szpitala dotarło dwóch kolejnych kumpli Joela i tłoczmy się teraz w mniejszej poczekalni. Jeden z koleśki pyta, co tu robisz, ale Ant ucisza go ostrzegawczym spojrzeniem.

Gdzieś koło drugiej próbuję się dodzwonić z automatu do domu, ale nikt nie odbiera. Pewnie wszyscy są jeszcze na imprezie sylwestrowej na molo. Moja starsza siostra, Marilyn, próbowała i mnie tam wyciągnąć – „No chodź, poprzebieramy się i w ogóle” – a to, że usiłowała mnie skusić przebierankami, pokazuje tylko, jak słabo mnie zna.

A gdybym jednak z nimi poszła? Wstrzymuję oddech i znów czuję mrowienie dłoni. Nikt inny nie wiedziałby, co robić... poza Timem oczywiście.



Tyle że jego zmroziło. Albo ja, albo nikt.

W końcu jakaś pielęgniarka mówi nam, że nie mamy co tu siedzieć, Joela czeka długa noc, a dopuszczają do niego tylko rodzinę. Większość się zmywa, ale Ant, Tim i ja wychodzimy na dwór i choć z nagła policzkuje nas mróz, zbijamy się w grupkę pod daszkiem.

- Nie chcę jechać do domu, dopóki on tu jest - mówię.

Ant zapala papierosa.

- Możemy pojechać do knajpki moich rodziców. Jeszcze tam są, urządzali dzisiaj wielką imprezę sylwestrową.

- Mama na mnie czeka - odpowiada Tim.

- Ma taką chorobę, która nazywa się toczeń - wyjaśniam, zanim Ant nazwie go maminsynkiem. - Czasem porusza się na wózek i Tim się nią zajmuje, bo jego tata od nich odszedł.

Ant wzrusza ramionami i zaciąga się papierosem. Nawet jeśli wiedział, to się z tym nie zdradza.

Rozsuwają się szpitalne drzwi i wychodzi chwiejnym krokiem jakiś mężczyzna. Dopiero po chwili dociera do mnie, dlaczego wygląda znajomo. Kiedy Joel został wybrany przez selekcjonerów z Dolphin, w lokalnej gazecie wydrukowano jego zdjęcie z rodzicami. Wszystkie dziewczyny z naszej klasy uznały zgodnie, że tata Joela wygląda fajnie jak na starego kolesia, że Joel jest do niego bardzo podobny.

Tak, to tata Joela, tyle że przypomina teraz stulatka.

Sięga do kieszeni dzinsów, ale po wyjęciu paczki papierosów tylko się w nią wpatruje, jakby zapomniał, do czego służy.

Drzwi automatyczne zaczynają się zasuwać, ale zaraz się zatrzymują, bo pan Greenaway stanął za blisko. Sytuacja powtarza się jeszcze dwukrotnie, aż wreszcie podchodzi do niego Ant, wyjmuje mu papierosa z paczki, zapala i oddaje.

- Chodź, Graham - mówi, i to dziwne, że zwraca się po imieniu do czyjegoś ojca. Ale pan Greenaway idzie posłusznie za nim i stajemy w gromadce jak pod szkolną wiatą na rowery w czasie przerwy na lunch.

Papieros wypala się do końca, Ant go zabiera i zgniata podeszwą sportowego buta. W wyżłobieniach widzę resztki trawy z dzisiejszej rozgrywki.

- A jeśli nie przeżyje? - pyta pan Greenaway. - Jeśli Lynette nie zdąży?

Ant marszczy brwi.

- Nie wolno ci tak mówić, Graham. Nie możemy postawić na nim krzyżyka. Nie teraz. Ani nigdy. Oni tego nie zrobili. - Wskazuje Tima i mnie.

Pan Greenaway kieruje na nas spojrzenie; wcześniej chyba w ogóle nas nie widział. Na jego twarz wypływa na chwilę machinalny uśmiech i w rysach zauważam podobieństwo do Joela.

- Jesteście znajomymi Joela? - pyta ochryple.

- Oni uratowali mu życie! - obwieszcza Ant, a ja czekam, aż Tim uściśli, co się właściwie stało.

- Przeszliśmy kurs pierwszej pomocy - odpowiada tacie Joela Tim. - Tak się złożyło, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu o właściwej porze. A teraz Joel jest już w dobrych rękach. - Gdy próbuję przechwycić jego spojrzenie, widzę, że patrzy w przestrzeń. Czy on w ogóle ma świadomość, że przemilczenie to też rodzaj kłamstwa?

- Joel się łatwo nie podda, okej? Wszystko będzie dobrze - zapewnia Ant.

Mam ochotę się odezwać, bo uważam, że nie należy dawać panu Greenawayowi fałszywej nadziei. Joel może już nie być Joelem.

Ale trzymam język za zębami. Czasem lepiej, żeby ludzie sami odkrywali prawdę.